

STAROPOLSKI KARNAWAŁ

CHOĆ szalenie obiektywni recenzenci naszych kulturalnych tygodników straszą widzów chłodem ontarktycznym i pustą salą Teatru Małego — jako zawodowy niedowiarek postanowiłam się przekonać osobiście o prawdziwości tych komunikatów. W jeden z najmroźniejszych wieczorów styczniowych opuściłam domowe pielesze, by zamarznąć w owym chłdzie i pustce. Na początku przeżyłam miłe rozczarowanie — sala jest znacznie cieplejszą niż moje śródmiejskie mieszkanie, a i pustki jakoś nie mogłam się dopatrzeć — i to mimo, że dzień był przeznaczony na telewizyjną „Kobrę”. Miejsc pustych było tyle, ile bywa na premierze Mroźka u Dajmka.

Oglądałam w Teatrze Małym krótkowidnię muzyczną Franciszka Zabłockiego, zatytułowaną: „Złota szlafmyca, albo Kołęda na Nowy Rok”... Bardzo lubię teatr staropolski, mam sentyment do polskiej literatury okresu Oświecenia, zawsze też interesowała mnie osobowość i twórczość samego Zabłockiego. Myślę, że gdyby urodził się Francuzem, Rosjaninem, Niemcem lub Anglikiem — dawno napisano by o nim kilka sztuk teatralnych i nakręcono choćby tylko jeden film. Ongiś nazywano go ojcem komedii polskiej, choć niektórzy historycy literatury mieli mu za złe to, że zbyt często pożył od obcych autorów. Nie jestem historykiem literatury, ale parokrotnie i do innych celów próbując zadać komparatystycznych doszłam do wniosku, że niejednokrotnie w naszych dziejach bywało wygodniej powoływać się na istniejące (lub nieistniejące w ogóle francuskie lub angielskie dzieła), by tym swobodniej pisać o tzw. trudnych sprawach. A taką sprawą np. także w Polsce Oświecenia były wszelkie sprawy, związane ze stanem świadomości rodaków, szczególnie w sferze światopoglądowej. Łatwiej było na koszt Francuzów czy Anglików drukować wszelkie bluźnierstwa, nie narażając się wszechpotężnym.

NIE prowadziłam akurat takich analiz w stosunku do komediowej działalności Franciszka Zabłockiego, choć niektóre jego teksty na takie poważne badania zasługują z całą pewnością. Zabłocki żył w ogóle 60 lat, z czego chyba ostatnich piętnaście przeżył w łagodnej melancholii. Ten libertyn, sekretarz osobisty ks. Adama Czartoryskiego i Komisji Edukacji Narodowej dał się poznać jako pisarz, żołnierz insurekcji — a nawet sędzia śledczy w roku 1794, choć podobno wyróżniał się w naszym nadwiślańskim Trybunale Rewolucyjnym łagodnością i umiarkowaniem. Tragedia osobista i utrata niepodległości zapłamały go psychicznie. Przyjął święcenia duchowne i objął następnie plebanię w dobrach Czartoryskich, gdzie dożył do końca swoich lat. Jego współcześni opisywali tego innego postarzałego nad miarę i melancholijnego, cierpiącego człowieka. Jeździł nawet specjalnie do Góry, czy później do Końskowoli, by złożyć hołd człowiekowi, którego cenili także za jego bezkompromisową publicystykę z czasów Sejmu Czteroletniego, powtarzali jego najostrejsze wiersze, skierowane przeciwko Targowiczanom.

Ale Zabłocki to także finezyjny satyryk, autor zabawnych — także mocno nieprzystojnych wierszyków. Nie

darmo był gościem Obłaidów Czwartkowych, na których to goście Króla Stanisława świntuszyli sobie zdrowo. A Oświecenie — jak wiadomo — nie należało do epok, w których ostro cenzurowano by poezję czy nawet przyciążkawe wierszyki. Ofiarą takiej literatury, padła przed laty pewna stara panna, która dokonała odkrycia naukowego i jak zaczęła czytać na głos swe skarby na seminarium naukowym — to zgromadzeni tam badacze nie wiedzieli, co zrobić ze sobą. Tak piętrówowej pornografii nie rozumiała jedyne recytatorka, bo i skąd miało mieć naiwne biedactwo doświadczenie w takich sprawach...

PRZEDSTAWIONY przez Ewę Bozną warszawskiej publiczności tekst Zabłockiego był prezentowany już ponad 200 lat temu jako prapremiera. Ogląda się to przedstawienie z ogromną przyjemnością. Sporo bowiem w nim i wdzięku staropolskiej literatury, pięknego stroju i tego staropolskiego, i tego francuskiego, utancznienia. Niestety, najslabszą stroną tego komediowego cała jest muzyka, napisana do pierwszej adaptacji Zabłockiego w r. 1967 przez Witolda Rudzińskiego. Zamiast pastiszu muzyki z epoki powstała miejscami opera zupełnie nowoczesna i niepotrzebnie. Zabrakło tu lekkości i wdzięku autentyku tak umiejętnie przygotowanego przez Leona Schillera w jego „Bandurkach” czy „Zosiach, chcących jagódek”. Aktorzy wykazali wiele dobrej woli i muzykalności, by pokonać tę wysoką przeszkodę. Przedstawienie ma dobre tempo, znakomite stroje i bardzo dobrze przystającą do wnętrza teatru scenografię Małgorzaty Treutler.

Jak karnawał — to karnawał... Widzowie przerywają oklaskami niektóre brawurowe dialogi, serdecznie dziękując w ten sposób parze Bohdana Majda — Wieniśław Gliński. Z jakim wdziękiem i fantazją nosi on kontusz, a nawet ową tytułową szlafmycę. Cięższy para młodych: Ewa Serwa i Marek Robaczewski. Stylowym Traktierem, czyli Żydem-Faktorem jest Wojciech Brzozowicz, pomagający młodej parze. Gra zresztą całego zespołu jest wyrównana, warto jest wymienić Fircyka w wykonaniu Stanisława Banasiuka oraz Merkurego — Jarosława Truszczyńskiego. Obaj doskonale mieszczą się w wyobrażeniach epoki o znakomitym bawidamku czy wystawniku bogów w sprawach paufnych i niezbyt czystych. Jak doskonale nasi przodkowie wiedzieli, to właśnie Merkury był u Jowisza za głównego rajfura. Zabłocki znał podobnych postillon d'amour swego monarchy. Kto wie czy na prapremierze Merkury nie był szczególnie ucharakteryzowany i ubrany na czyjeś podobieństwo?

Aw ogóle to owa „Szlafmyca” jest znakomitą zabawą. Teatr nie rozpieszczą nas ostatnio komediami i to w dodatku tak sprawnie i kulturalnie zrobionymi. Idźcie więc a przekonacie się, że warto polubić staropolski teatr. Można się nie tylko zabawić, ale posłuchać także sentencji, które przypisują sobie nasi współcześni odkrywacze Ameryki, podczas gdy te myśli obywatelskie już 200 lat temu ktoś tam przedkładał rodakom, choć często czynił to, drapiując dla większej pewności — w cudzoziemskie suknie.

BOŻENA KRZYWOBŁOCKA